Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Z cyklu: Mosty poleskie. Fot. J. W. Krauze.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 30 (634). 25 LIPCA 1931 R.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego”** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego”** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego”** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić..

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO”.







Na rozlewiskach Polesia. Fot. Kazimierz Czelny.

GOSPODARKA KOŁEK ŁOWIECKICH I ZWIERZOSTANY.

Zastrzegam się zgóry, że nie chcę tu mówić o takich kółkach, które na miano myśliwskich wogóle nie zasługują — o zalegalizowanych stowarzyszeniach kłusowników, którzy wynajmują dany teren po to, by na nim strzelać, dla hodowli zwierzyny nic nie robiąc. Mam na myśli kółka, prowadzone właśnie w myśl wszelkich zasad prawidłowego myślistwa, kółka (towarzystwa myśliwskie), których członkowie nie szczędzą kosztów na podniesienie zwierzostanów i częstokroć cierpliwie czekają po lat kilka, zanim przystąpią do odstrzeliwania zwierzyny.

Otóż doprawdy warto się głębiej zastanowić nad tem, jak niewspółmiernie małe, w stosunku do ich budżetów, są rezultaty polowań kółkowych.

Wydaje się więc pieniądze na podkarmianie zwierzyny, na sprowadzanie zajęcy i kuropatw, na bażanty, na strzelanie drapieżników, na domki myśliwskie i t. d., i t. d. A jak przyjdzie do polowania, to niema do czego strzelać.

Znamy wszyscy dobrze te polowania. Wyjazd samochodami, sleepingami. W domkach myśliwskich wystawne obiady, w lesie śniadania pierwszej klasy. W kniei każdy do swego rozporządzenia ma osobną furmankę, chłopca, niemal że nie niańkę. Moc naganki, trąbki, krzyki, hałasy. Głośne słowa komendy, krzyki wzdłuż całej linji: „dziki w miocie", „lis w miocie". Jednem słowem, nie polowanie, a radjo. Kosztuje to wszystko mniej lub więcej słono. A rezultaty w stosunku do kosztów są żadne. Są naturalnie wyjątki, ale jest ich tak niewiele.

Niewątpliwie dobre śniadanie w lesie, po szeregu dobrych miotów nie jest złe. Przyjemnie też jest w zimie, wystawszy się na tęgim mrozie, odpocząć i zjeść obiad w ciepłym domku myśliwskim. Tak, zapewne... Ale polowanie?

Czem więc sobie tłumaczyć te niedomagania? Słyszę często skargi, tej mniej więcej treści: „Tyle to polowanie kosztuje, i pieniądze się wkłada, i pracę, a rezultatów niema żadnych." Czem to sobie objaśnić?

Otóż na pytanie takie chciałbym dać odpowiedź w niniejszym artykule. Naturalnie ryczałtowej odpowiedzi dać niepodobna. Tu i ówdzie napotykamy specjalnie nieprzychylne warunki dla hodowli zwierzyny, to znów robimy jakieś błędy, częstokroć niedające się zgóry przewidzieć, gdzieindziej znów proste niedbalstwo gospodarza lub jego nieudolność marnuje setki i tysiące złotych.

Stale jednak i wszędzie główne przyczyny są trzy: 1) niedostateczna ochrona przed kłusownictwem i wnykarstwem, 2) w złym kierunku zwrócony za-

pał do tępienia drapieżników, 3) złe prowadzenie polowania.

Nie pomoże podkarmianie zwierzyny, jeśli zwierzyna ta właśnie przy karmie lub w drodze do niej będzie przez kłusowników strzelana. Nie pomoże sprowadzanie dziesiątków zajęcy tam, gdzie zające te będą, często jeszcze zanim zdołają wydać potomstwo, wyłapane przez wnykarzy. Czyż nie słyszy się niekiedy o polowaniach kółkowych, na których zimą pada mniej sztuk, niż wpuszczono na wiosnę?

A więc ochrona przed kłusownictwem. Więc straż łowiecka. Dobór straży łowieckiej uważam za rzecz zasadniczą. Strzelcy muszą być ludźmi pewnymi, takimi, którym można zaufać. Muszą to być ludzie z zamiłowaniem do swego zawodu, przytem odważni, silni, wytrzymali.

Strzelec musi być dobrze płatny, by dbał o swą służbę. Musi też mieć pewność, że w razie nieszczęścia, które ewentualnie może go spotkać, rodzina jego nie pójdzie na dziady. Tu ponoć asekuracja zbyt mało jest brana w rachubę i wyzyskiwana.

Najlepszym materjałem na strzelców są okoliczni kłusownicy. Nie wszyscy naturalnie. Są tacy, z których nigdy nic nie będzie. Większość jednak na służbę nadaje się znakomicie. Nie jest to zresztą żadna nowa prawda. Stare doświadczenie tego uczy. Niestety, jak obserwuję, rzadko jest wyzyskiwane.

Na strzelców radzę dobierać kłusowników starszych, doświadczonych, takich, którzy swą pasję myśliwską do pewnego stopnia już zaspokoili. Część przynajmniej powinna być taka.

Strzelców powinno się darzyć zaufaniem i zaufanie to okazywać im. Ujmuje to bardzo. Nie przeszkadza to naturalnie patrzeć krytycznie na ich działalność.

Zawsze po wzięciu kłusownika na służbę, zaczynają dochodzić plotki. Nie dawać im posłuchu, a od „życzliwych" oskarżycieli, jeśli się ich pozbyć nie można, żądać faktów. Nie dać się prowokować i pamiętać o tem, że oskarżenia niesłuszne i niesprawiedliwe są bronią, często używaną w społeczeństwie ludzkiem. Nie dać w sobie zachwiać zaufania do człowieka, który częstokroć ze skóry wyłazi, by zrobić wszystko, co doń należy, a wzamian zamiast pochwały, spotyka się z nieufnością. Tu tak samo, jak wszędzie: wspólna praca musi być oparta na wzajemnem zaufaniu.

O ile możności należy dobierać strzelców ze wsi najbliższych, a to dla wielu powodów. Człowiek miejscowy, a szczególniej kłusownik zna dany teren znakomicie. Zna też swoich kłusowników, kolegów po fachu, ich szlaki, sposoby i nawyknienia. Pokumany, spokrewniony i spowinowacony jest z wieloma. W rozmowach ze znajomymi czy to po kościele, czy na jarmarku dowie się dużo. Nie można tego bagatelizować. Częstokroć taka rozmowa lub też niebacznie naiwne, a pochwycone przezeń słówko, da mu więcej, niż szereg nocy spędzonych na czatach w lesie. Pozatem jest to człowiek „swój". Niby na pańskiej służbie, coś niby renegat, to znów przeciwnie honoratus (różni różnie o tem sądzą, jak to na wsi), ale przedewszystkiem swojak. Z dziada pradziada tu osiadły. Dybać na takiego zawsze trudniej, bo to i rodak, i jest komu się o niego upomnieć.

Strzelec ze świata przybyły jest obcym, intruzem, jest zgóry zdeklarowanym wrogiem. Terenu nie zna, warunków miejscowych nie zna, nikogo nic nie obchodzi. Napotyka w swej pracy wszelkie utrudnienia. Bez wątpienia przy energji, zamiłowaniu i wytrwałości, po pewnym czasie może się stać lepszym od miejscowych. Takiego jednak lepiej jest wziąć na starszego strzelca i oddać mu pod komendę miejscowych.

Od strzelców trzeba wymagać. Dobrze płacić, ale i dużo wymagać. Jednak nie wymagać za wiele. Tu leży sedno rzeczy. Nie można dawać strzelcowi zbyt wielkiego obszaru do dozoru. Jeśli się ma rewir łowiecki o obszarze 5000 ha, a trzyma się na nim dwóch lub jednego strzelca, to zgóry można przesądzić, że ta opieka jest zbyt mała.

Jaki teren może mieć przydzielony jeden strzelec? Odpowiedź trudna. Zależy to od miejscowych warunków, a więc od konfiguracji terenu, linji granicznej, sąsiadów, bliskości wsi, wielkości całego rewiru i ilości strzelców wogóle i t. d. Gdy w pewnych warunkach na 5000 ha 5 strzelców będzie stanowiło obsadę bogatą, to w innych ilość ta nie wystarczy. Za normę biorę 1 strzelca na 1000 ha. Od tego można zrobić znaczne ustępstwa w tę lub inną stronę. Pamiętać jednak należy, że gdy na 5000 ha ma się pięciu strzelców, byłych kłusowników, to przedewszystkiem o tych pięciu szkodników jest w okolicy mniej, a ilość zwierzyny niestrzelanej przez kłusowników zwiększa się tylokrotnie, ilu ten strzelec kłusowników trzyma w szachu.

Strzelec powinien mieć oddany sobie pod opiekę, określony rewir, w którego granicach powinien mieć zostawioną swobodę działania. Wyznaczanie strzelcowi służby z dnia na dzień, jak się to niekiedy praktykuje, uważam za wręcz szkodliwe. Jego, strzelca jest rzeczą, w jakiej porze dnia i w jakiej części rewiru się znajduje. Ale on też jest odpowiedzialny za swą taktykę w dozorowaniu zwierzyny.

Każdy strzelec powinien mieć specjalną książeczkę, którą ma nosić z sobą i zapisywać w niej to wszystko, co ma jakikolwiek związek z jego służbą i łowiskiem. A więc w książeczce tej winna być zapisana marszruta każdego dnia, napotkana zwierzyna, jej tropy, słyszane strzały, ludzie spotkani w łowisku (gajowi, inni strzelcy, robotnicy leśni) i t. d.

Taka książeczka jest w praktyce bardzo ważną. Daje ona chlebodawcy ogólny pogląd na czynności strzelca, jednocześnie zaś ogromnie ułatwia zdawanie raportów. Szczególniej tam, gdzie gospodarz rzadko bywa w rewirze, daje ona temu gospodarzowi bardzo wiele. Przerzucając kartki takiej książki dzień za dniem i odpowiednio wypytując strzelca, otrzymuje się bardzo jasny obraz tego, co się działo w rewirze w danym okresie czasu. Jest to zupełnie co innego, niż chaotyczna rozmowa po kilku tygodniach niewidzenia się, w trakcie której niejednokrotnie pomijane są te fakty, które właśnie zasługują na szczegółowe omówienie.

Systematyczne raporty strzelców uważam za konieczne. Należy je robić metodycznie, zawsze bez świadków, spokojnie i bez irytacji. W trakcie tych raportów, szczególniej mniej doświadczony myśliwy

może się dużo nauczyć. Przedewszystkiem jednak powinien się nauczyć strzelec. Surowy człowiek, chociażby był najbardziej doświadczonym myśliwym — kłusownikiem, posiada zawsze duży brak kardynalnych wiadomości, potrzebnych mu do służby. To też kto chce mieć dobrą straż łowiecką, musi ją sobie odpowiednio wyszkolić.

Raporty winny być zdawane w domu. Inną natomiast, również ważną rzeczą, stanowiącą tej pierwszej niejako dopełnienie, są inspekcje gospodarza w lesie. Na miejscu więc w rewirze winien strzelec powtórzyć gospodarzowi szczegóły swego raportu. W terenie powinien pokazać, którędy dnia tego i tego dziki przeszły, gdzie zalegały i t. p. szczegóły. W trakcie takiej inspekcji poznaje się tajemnice danej kniei i jej właściwości. Wtedy też powinien być omawiany kierunek miotów, stanowiska myśliwych i t. d. Wtedy też, a nie na polowaniu (z krzykiem i irytacją, jak to często bywa) powinno się wytknąć strzelcowi jego błędy, popełnione na poprzedniem polowaniu, powinno się go pouczyć dlaczego te błędy popełnił i jak ich ma na przyszłość unikać.

Tu nasuwa się kilka uwag o roli gospodarza. Tak, jak najlepsza armja bez wodza nic nie jest warta, tak też i najlepsi strażnicy łowieccy przy złym gospodarzu (łowczym) nie wiele zdziałają. „Pańskie oko konia tuczy" — mówi stare przysłowie. Strzelec, który nie czuje nad sobą fachowej władzy, który nie widzi zainteresowania i nie ma się przed kim pochwalić swoją pracą i zdobytemi przez się wiadomościami, będzie się w pracy opuszczać i zaniedbywać, aż w końcu zmarnować się może zupełnie. Przeciwnie, zainteresowanie się jego pracą, pochwała czy nagana, udzielana w odpowiednim czasie, będą go w tej pracy podciągały.

Nie wystarczy więc, gdy członkowie kółka przyjeżdżają na łowiska tylko na polowanie, a rola gospodarza sprowadza się do zbierania składek, aprowizacji polowań i ich prowadzenia. Ten, kto bywa w rewirze 2—3 razy do roku, tylko na polowaniu, ten rewiru tego znać nie może. I nie czas wtedy na pouczania, inspekcje i cały szereg innych gospodarczych spraw, których tu nawet nie poruszam. Gospodarz łowiska winien bywać w niem jaknajczęściej. I to nietylko w porze łowów, gdy przyjechawszy w sprawach gospodarczych, strzeli sobie zarazem jednego i drugiego rogacza, lub zasiądzie w budce na cietrzewie. Powinien on również przyjeżdżać i wtenczas, gdy niema do czego strzelać, lub też przyjechawszy powstrzymać się od strzału. Niech strzelec ad oculos pozna w gospodarzu nietylko żądnego strzału myśliwego, ale również i hodowcę. Niech takie określenia, jak „ochrona zwierzyny", „hodowla" i t. p. nie będą dla niego pustymi dźwiękami. To pouczy go najlepiej, że w łowiectwie są jeszcze i inne wartości, aniżeli żądza strzału.

A z drugiej znów strony niejeden myśliwy, który dotychczas do lasu zaglądał tylko po to, by zabijać, przekona się, że można tam, nie zdejmując strzelby z ramienia, przeżyć cudowne, niezapomniane chwile. I może z niejednego zabijacza — rekordowca powoli stanie się prawdziwy myśliwy.

A teraz słów kilka o tępieniu drapieżników. Dla powiększenia, czy też utrzymania zwierzostanu na należytym poziomie, sprawę tę uważam za niemniej ważną, niż zwalczanie kłusownictwa. Chodzi tylko o to, jakie drapieżniki tępić!

Bezwzględnie należy zabronić straży łowieckiej i leśnej strzelania jakichkolwiek drapieżników skrzydlatych, a więc sów i tak zwanych popularnie „jastrzębi". Przemawia za tem kilka względów. Po pierwsze te „jastrzębie" w łowiectwie; z małymi wyjątkami, nie odgrywają żadnej roli, a jeśli odgrywają, to dodatnią. Po drugie większość ich oddaje olbrzymie usługi rolnictwu. Po trzecie strzelec, który ma polecone strzelać „jastrzębie", traci czas napróżno, zamiast robić to, co do niego należy. Po czwarte pieniądze wydane na naboje i strzałowe lepiej jest obrócić na rzeczy istotnie potrzebne dla podniesienia gospodarstwa łowieckiego.



Zgodne sąsiedztwo. Fot. Zygmunt Kurek.

Nie ja jeden tylko od szeregu lat nawołuję do rewizji poglądów na tę sprawę. Nawołują i inni, niestety z niewielkim rezultatem. Smutne nasuwa to refleksje. Podczas gdy w krajach o wyższej kulturze przyrodniczej i łowieckiej, jak np. w Niemczech płaci się nagrody strzelcom, jeśli w ich rewirach jakaś para drapieżników skrzydlatych, założywszy gniazdo, szczęśliwie wyprowadzi młode, to u nas po staremu strzela się te drapieżniki. Ano trudno. Trzeba ponoć machnąć ręką na starych uparciuchów i wychowywać młode pokolenie, które może prędzej zrozumie, że zdobycze nauki więcej są warte, niż na niczem nie oparte mędrkowanie.

Jakież więc drapieżniki należy tąpić? Otóż przedewszystkiem psy i koty. Tam, gdzie psy i koty bezkarnie włóczą się po polach i lasach, tam zwierzostan nigdy dobrym nie będzie. Kto chce mieć rezultaty w hodowli zwierzyny, ten musi wydać bezwzględną walkę tym włóczęgom.

Zwolennicy strzelania ptaków drapieżnych na obronę swych zapatrywań wysuwają, według ich mniemania, nieodparty argument, a mianowicie wielokrotne stwierdzenie faktu, że tam, gdzie się tępi drapieżniki, tam zwierzostan znakomicie się poprawia. Zgadzam się z tem najzupełniej, wszak oczywistym faktom przeczyć nie można. Zachodzi tu tylko omyłka w komentowaniu faktów. Zachodzi popro-

stu nieporozumienie. Rzecz w tem, że tam, gdzie się strzela ptaki drapieżne, tam strzela się również psy i koty. To strzelanie tych ostatnich daje dodatnie rezultaty, a nie karygodne wybijanie tak pożytecznych dla rolnictwa myszołowów i pustułek, nie mówiąc już o sowach.

Jeśli też zabronimy straży łowieckiej strzelać ptaki drapieżne, a natomiast zwiększymy kilkakrotnie strzałowe za psy i koty, otrzymamy i w łowiectwie znakomite rezultaty i rolnictwu nie będziemy wyrządzali szkody.

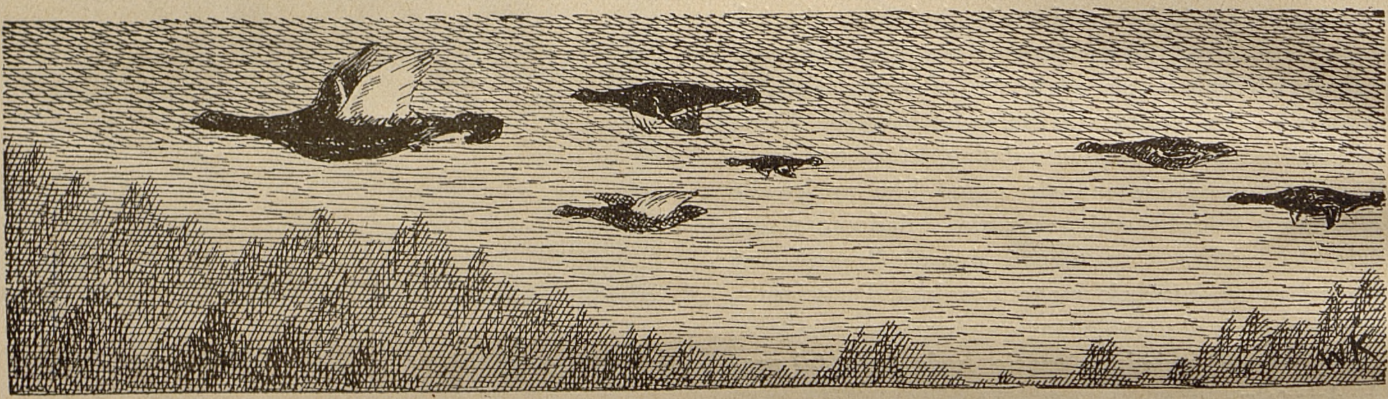
Niewątpliwie na skutek tego ocaleje ten i ów gołębiarz (którego pożywienie w 40% składa się ze zwierzyny łownej), ale zginie za to więcej psów i kotów, które są szkodnikami od gołębiarzy nieporównanie większymi.

Nie chcę być tu źle zrozumiany. Nie jestem wogóle zwolennikiem „przestrzegania zasady dla zasady". Jeśli naogół bagatelizuję, tak mocno przez naszych myśliwych przesadzoną szkodliwość gołębiarza, nie znaczy to, bym twierdził, że należy spokojnie patrzeć jak drapieżnik ten wybiera sztukę za sztuką kuropatwy lub czyni spustoszenia w bażantarniach. Ani sam na to nie chcę spokojnie patrzeć, ani innych do tego nie nawołuję. Co innego jest jednak indywidualny, że się tak wyrażę, odstrzał rzeczywistych szkodników, a co innego masowe tępienie ptaków, które na to nie zasłużyły, a które padają tylko ofiarą nieporozumienia.

Zaznaczam tu jednak wyraźnie, że poza gołębiarzem, nie widzę wśród naszych ptaków drapieżnych szkodników łowiectwa. Mógłby tu jeszcze wchodzić w grę sokół wędrowny, ale ten jest tak rzadki, że można nad nim przejść do porządku dziennego.

Należałoby się tu zkolei zastanowić nad rolą ssaków drapieżnych w naszem łowiectwie. Zaprowadziłoby to nas jednak narazie zbyt daleko. To też do sprawy tej postaram się wkrótce powrócić w artykule specjalnym.

JANUSZ DOMANIEWSKI.



F R A G M E N T Y.

(Z CYKLU „WIOSNA").

Wam, którzy na ruinach Waszej przeszłości umiecie budować cud — świątynię wspomnień, chociaż szron przyprószył Wasze skronie, a życie na każdym kroku nielitościwie smaga batem trzeźwości, Wam, którym poprzez czarne chmury i szare mgły codziennych trosk i niepowodzeń, przyświeca promienny uśmiech Piękna, gdy tajemnicze szepty borów, smolisty powiew puszczy oraz posmak łowów odradzają czar ubiegłych lat młodości, Wam, których młode, silne ciała i szczere serca rwą się ku czynom i łakną wielkich przygód, oraz ku Twej chwale Pierwsza Przyczyno istnienia Piękna, która jesteś Wszystkiem, a bywasz Niczem — wiąż obrazków, scen i przeżyć składa

AUTOR.

WSTĘP.

I.

„Cicha, ciepła noc urocza,
niebo śpi gwiaździste...
jakieś szmery, szepty dziwne,
dźwięki promieniste.

Srebrnym śmiechem roześmiane
błyszczą i migocą
gwiazdki... złotych ptaszyn roje
gwarzą i szczebiocą.

Sypie ręka niewidzialna,
góry barwnych kwieci,
splata w bajkę wrażeń Piękna...
bajkę — prawdę dzieci.

Płynie piosnka kołysanka,
bez słów i bez tonów...
z serca płynie — życie budzi
gamą słodkich dzwonów...

Cudy nieba, gwiazdki złote,
śpiewy, wonne kwiatki...
cały światek prawdy szczęścia —
— przy piersi u Matki!!"

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

II.

Wiosna, lato, jesień, zima...

Chmurą ptaków różnopiórych nalatuje rzesza skrzydlatych myśli; krąży, wije się, wiruje... wzlotów swych podmuchem szeleści pergaminami mózgu... i szepcą druhy wierne, nieodstępne aż do śmierci towarzysze doli i niedoli, gadkę nieskończoną o minionych dniach pięknych przygód, szczerych radości, ciężkich zawodów i smutków.

Wczoraj, Dziś, Jutro — zjednoczone nieuniknionem, wielkiem w swej konieczności „już pora" w jedno to — życie ludzkie... takie zimne, takie stałe: dwa plus dwa i jeszcze... i znowu... i t. d. — Kolumny cyfr w działaniach niewzruszone, jak martwe głazy w trzeźwości swej martwoty.

A jednak istnieje dziwna w swej potędze siła, która, wszelkie troski łagodząc, jasnym Zniczem oświeca życie, starca odmładza, najdziksze serca rozmiękcza i zmusza je do ukochania wielkiej, niezbitej i jedynej prawdy — Piękna, a siłą tą jest umiłowanie łowów i niepodzielnie związanych z nimi emocyj — dar cudowny, czy to dziewiczo pięknej poganki Artemidy, czy najmilszego ze świętych Chrześcijaństwa św. Huberta.

Stygmat takiego obdarzenia widocznym jest omal że nie od pierwszych kroków dziecka. Poważny łeb misia, sroga paszczęka basiora, krwiożercze ślepia rysia, groźny ryj odyńca, złośliwy chytry pyszczek lisa, potężne wieńce jelenia, mocarne łopaty łosia, lub przeróżnych form i barw upierzenia liczne okazy skrzydlatych — trofea wyczynów myśliwskich ojca — są przedmiotem ciągłego i niezmiernego zainteresowania malca. Ulubionym towarzyszem zabaw zawsze będzie cierpliwy wyżeł, a opowiadania o tem, w jaki sposób tatuś zdobył „tego" wilka, lub jak się potłukł przy podskokach do głuszca i... nie płakał — usunie wszelkie smutki i bóle dziecięce, osuszy przygodne łzy i blaskiem szczerego zachwytu roziskrzy oczęta. Dość spojrzeć na twarzyczkę dziesięcioletniego Zbyszka, u podnóża paręsetletniego dębu w najwyższem skupieniu wsłuchanego w pogawędki zawsze gościnnie podejmowanej przez pp. S. braci myśliwskiej, lub zaabsorbowanego urokiem szerokich, hen jak okiem sięgnąć, rozłogów i błot i łąk Karasińskich, przepełnionych lęgami kszyków, dubeltów, kaczek, derkaczy i cietrzewi, aby zdać sobie sprawę z tego, jakiej namiętności niezgaszone ognie będą na drodze życia przyświecały temu chłopięciu, chroniąc go od topielisk i przepaści innej władczo zgubnej rozkoszy, na którą my — brzydsza połowa rodu ludzkiego — tak jesteśmy łasi.

A „strzelający" stale tylko grube sztuki, mały infant rodu B. Dzibuś? — niejednemu z myśliwych dzisiejszego autoramentu zaimponuje swą erudycją o faunie lasów rodzimego Polesia, oraz orjentowaniem się w arkanach różnorodnych łowów. Umajony czeremchą i gruszkowem kwieciem wita swego „przyjaciela" generała, powracającego z wyprawy na głuszce, a następnie nie omieszka z łobuzerskim uśmieszkiem poinformować „Babunię", że generał nie posiada serca, gdyż dawno rozdał je po kawałeczku wszystkim kobietom.

Nie wiem jak na kolegów myśliwych odziaływa obcowanie z takimi malusińskimi w przerwach odprawiania łowów, na mnie zaś ma wpływ niezmierny.

Pod wrażeniem tego obcowania, na ciągu słonek, czy na podsłuchach, gdy przygasa słońce, bledną i nikną jasne jak błysk stali promienie, a matka cieniów, Zorza, bierze zda się wszechświat w swe posiadanie; rozmarzony dźwiękami wieczornej pieśni, myślą, duszą i sercem powracam do lat mego dzieciństwa... widzę cień Matki ukochanej. A gdy przyjdzie szara godzina pięknego mroku, zamknie różanymi pocałunkami me smutne oczy, spowije rozpętane nerwy zapomnieniem... słodkiem, błogiem, kojącem... i przytuli do łona znękaną duszę moją, — pogrążam się w otchłań wspomnień.

Widma nieuchwytne, utkane z barwnych wizji snów, z poszumów naszych smętnych borów, z jazgotu dzikarzy i harmonijnego grania ogarów, z grzmotów tysięcy strzałów, z dzikich harców za chartami, z kwiecistych płatków marzeń, z tajemnic tkliwych pocałunków i rozkochanych spojrzeń, z dusznych oparów krwawych pobojowisk, ze zgiełków bujnie rozkrzyczanej dżungli, z tchnących żarem i czarem bezbrzeżnych przestrzeni pustyni, z zapachów kuszących i pachnideł kolorowych... z niezmąconej ciszy mateczników tajgi... z akordów rzewnych nut tęsknoty i szmeru smętnych westchnień — żalów!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

WIOSNA.

I.

Wiosna idzie, dary niesie:
kute w słońcu wieńce,
hafty jutrzni, róże zorzy,
kraśnych dni rumieńce.

Wietrzyk — filut rozbawiony —
muska, niepokoi...
taflę jezior lazurowych
w srebrną gazę stroi.

Konchy kwiatów snują baśnie,
tryska cud-fontanna,
śpi dąbrowa rozmarzona,
w niebie grzmi hosanna.

Szemrzą brzozy, trel słowika,
bronzem strumyk brzęczy —
rosną skrzydła, serce śpiewa
w duszy hejnał dźwięczy.

Słodycz wiosny pocałunków,
z róż i z lilij wianki,
wiara w szczęście, w świętość czystą
u stópek bogdanki.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

II.

Skończyły się gody weselne szarego ludu — wilków. Bury śpioch opuścił swój barłóg i chudy, zły, głodny... jak cień włóczy się z końca w koniec obszarów swego państwa, w niezmordowanem poszukiwaniu żeru, nie gardząc nawet marnymi korzonkami. Dotychczas ogłu-

piały czadem miłosnych wzruszeń ryś, w czasie zapędów erotycznych łatwa zdobycz myśliwego, chyłkiem opuszcza od lat niezmienne miejsca czułych randek i wyrusza w swe stukilometrowe zagony, uprawiając zbójecki proceder. Poważna, stateczna pani — ciężarna maciora, w przeczuciu zbliżania się chwili wielkiego misterjum — obdarzenia społeczeństwa leśnego licznem potomstwem, usuwa się dyskretnie od gwarliwego stadka rodaków w miejsca zaciszne i, osamotniona, coraz częściej znaczy w nich pobyt projektami lęgowiska, wygodnie usłanemi miękkiemi, świerkowemi łapkami.

Zepsół hałaśliwych minstreli grupuje się przeważnie w pobliżu terenów przyszłych turniejów, czarnemi plamami odcina się od smutnie jednostajnego tła skarłowaciałych brzózek i z pogardą przysłuchuje się zdaleka płynącym dźwiękom przedwczesnego bełkotu zwarjowanego krewniaka, który, ogrzany na czubku sosny ciepłem promieni słonecznych, rozpuścił lirę i beznadziejnie drze się w przestworza. Pozatem, spowite jeszcze całunem zimy, milczą lasy, bagna i łąki. Chociaż na wzgórzach i polankach pod działaniem już dobrze przygrzewającego słońca pozostały tylko kłapcie śniegu, częściowo upstrzone turzycą i zabarwione na sino (nieskromne ślady parkotu), chociaż na śnieżnym kobiercu zacisznych ustroni weselą oczy tajemnicze rysy pierwszych tanecznych „pas" głuszców, — kilkastopniowe mrozy nocne hamują narazie gorące zapędy królewskich trubadurów. Jeszcze tydzień, jeszcze, zależnie od aury, dni kilka, a zwiastun wiosny — pierwsza pieśń leśnego barda ogłosi wszystkim mieszkańcom puszczy nadejście godziny zmartwychwstania i ani groźne podmuchy mroźnej wichury, ani przejściowe śnieżyce — ostatnie podrygi konającej Zimy, nie zmrożą namiętnością wrzącej krwi, nie zagłuszą hymnu nadchodzącej Wiośnie. O tym czasie na szerokich stepach Pobereża, dzikich niegdyś polach, sięgających dalekich brzegów Czarnego morza, wiosna panuje niepodzielnie. Rzeki doszczętnie skruszyły swe pęta lodowe, na grzbietach rozszalałych bałwanów wegnały je na ostateczną zagładę w morską toń i nadmiar spienionych żyznych wód wylały na dziesiątki kilometrów, tworząc u swych ujść ogromne przestrzenie t. zw. „rozsypów", czyli stosunkowo płytkich, bardzo powoli spływających rozlewów. usianych wysepkami suchego oczeretu, krzakami i kępami drzew. Rozlewy te, obficie zaopatrzane w żer, od wieków stały się ulubionem miejscem postoju i wywczasów stujęzycznej rzeszy wodnego i błotnego ptactwa, gnanego wolą swego przeznaczenia w coroczną powrotną wędrówkę na północ i skupiając je w nieprzeliczonych ilościach, są prawdziwem Eldorado dla myśliwego, który każdej wiosny tu wzbogaca swe zdobyczne trofea czy to nieposiadanym jeszcze rzadkim gatunkiem kaczki, gęsi lub brodźca, czy przepięknym okazem łabędzia.

Przegrzmiały echa licznych strzałów przeróżnych kategorji myśliwych, dziesiątki centnarów śrutu bez śladu pochłonęły „rozsypy", a każdy miał dosyta „wodnych" rozkoszy łowieckich.

„Ech panyczi, panyczi! ne bude z was dobrych łowciw: use jizdete za tymy durnymy kaczkamy ta ptaszkamy, a tut strepetni po suchych burjanach szyplat', drofyczi dawno pudracia (tokują), (ja sam z mojeji luszni zabyw try harni sztuky) ta waluchy (słonki) uże tilki de de po chutorach charczat". To zawołany charciarz słynny dojeżdżacz, niedościgniony w sztuce naganiania w szczerem polu dropi, chłop jak tur, z przełamanym nosem w walce z rozjuszonym bykiem, Marko Popłużny, vel Drapák, vel Hûniawyj, dopinguje ulubionych uczniów swego kunsztu do nowych eskapad wiosennych.

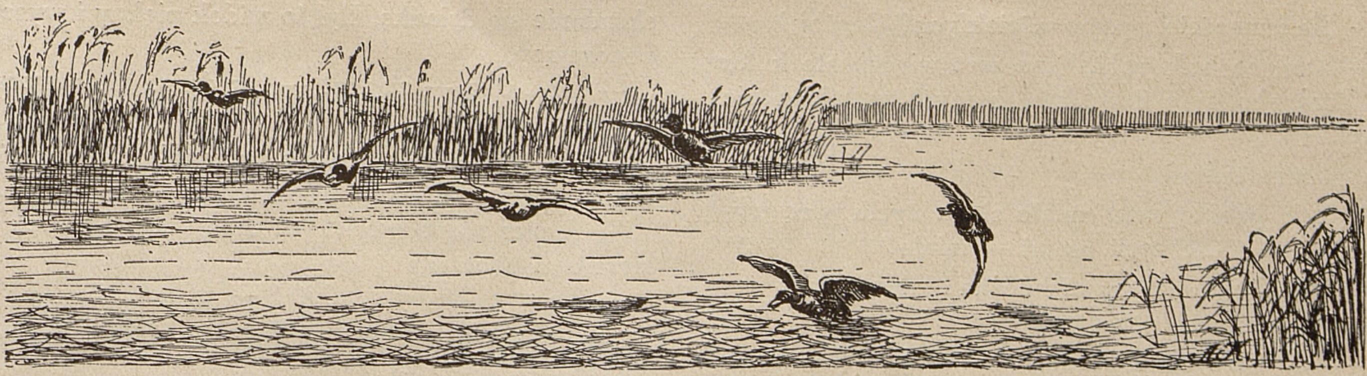
Kilkunastokilowe wąsate i brodate olbrzymy, dumne ze swych krawatów żwawe strepety i nieliczne królewskie długodzioby zwykle wieńczyły junackie wyprawy, a gościnne dwory, oazy leśne i zapadłe w jarach i wertepach futory, rozsiane zrzadka w bezbrzeżnem morzu zieleni stepów, pozostawiały niezatarte wspomnienia... łzawych spojrzeń, pięknych rączek, zgrabnych kibici, zażywnie hożych postaci leśnych sylfid i pachnących wiśnią i polnymi kwiatami stalowo giętkich przepięknych ciał stepowych boginek. Bujna młodzieńcza siła niezmordowanie tętniła w żyłach i mięśniach, a rozśpiewane serce nuciło radosną pieśń o szczęśliwości życia.

— — — — — — — — — — — — — — — —

„Głuszce grają" — krótka treść depeszy. Najpilniejsze sprawy idą w kąt, ciężkie utrapienia bledną i gorzkie niepowodzenia maleją. Piorunem zakończa się poważniejsze interesy, z werwą układa się niezbędne rzeczy i... hulaj odmłodzona duszo do Maniewicz i Karasina.

Tereny łowieckie dóbr Karasińskich pana S. i Maniewickich pana B. zasadniczo się różnią. Pierwsze mogą być zaliczone, jeżeli nie z powodu ilości, to ze względów na jakość łownej zwierzyny, do najlepszych na Wołyńskiem Polesiu, drugie zaś, chociaż często wyniki polowań bywają zdumiewające, należy uważać za przechodnie dla grubego zwierza. W niedostępnych uroczyskach Karasińskich lasów rokrocznie lęgną się w pokaźnych ilościach dziki i wilki. rysie zaś obrały sobie uroczysko „Zawalnyj lisok" za stałe miejsce odprawiania godów weselnych i ściągały tu podczas rui z najdalej odległych miejscowości. Niefortunny w ciągu ostatnich lat odstrzał przeważnie samic, przetrzebił i dotkliwie zmniejszył ilość stałych rysi, co niezmiernie martwi właściciela pana S., który jest naprzód wyjątkowym w dzisiejszych czasach myśliwym-hodowcą, a następnie — myśliwym strzelcem. Jednak napróżno pan Michał smuci się i rozpacza nad ostateczną zagładą rysi, gdyż wcale nie jest tak źle, jakby się zdawało. Knieje i ostępy naszej Ojczyzny posiadają jeszcze bardzo pokaźną ilość tego tygrysa Europy, a „Zawalnyj lisok" ma i mieć będzie nadal niezbadaną tajemniczą moc przyciągania żądnych uciech miłosnych „kociaków". Odpowiednia ochrona, oraz zdobycie się na ograniczenie zapędów jednostek, którym miły gospodarz w dobroci swego serca nadał myśliwskie serwituty, spowodowały magiczną zmianę w zwierzostanie i to nie tylko w stosunku do jakoby „wymierających" rysi, lecz w pierwszym rzędzie do zatrważająco zmniejszających się ilości dubeltów, a wtedy, ku serdecznej radości stroskanego gospodarza, jeszcze nie jedno pudło do rysia byłoby omawiane przy kieliszku starki na „Zuzance".

C. d. n. GEN. ST. SKRZYŃSKI.



PAN PAWEŁ KWACZ.

I. Prezentacja.

Barwa epoki i środowiska, zatrudnienie i splot warunków życiowych — oto są wpływy zewnętrzne, którym podlegają wszyscy, stając się mniej lub więcej t. zw. typami. Tyleż jest ich w życiu i beletrystyce, ile szablonowych, giętych krzeseł w pociejowskich rupieciarniach. I zawsze znajdziemy dla nich banalny uśmiech pobłażania razem z nieodzownem ziewnięciem: — A, to ten nasz kochany nemrod, czy hreczkosiej... a-a-a!

Niechaj śpią w dosycie nudy, pyłu i zapomnienia!

Ale są oryginały, których pominięcie byłoby poprostu grzechem literackim.

Na tych wybrańców losu czyha niemal każdy, kto w Boga wierzy: i malarz, i gryzipiórek, i często — za przeproszeniem — policjant.

Takim jest pan Paweł Kwacz.

Może ten i ów z grona premjowanych ojców łowiectwa, a specjalnie tych, co to nareszcie zdążyli przetrawić ustawę myśliwską z komentarzami, — pokręci nosem, mrucząc: — Ehe... ten pan Paweł pachnie mi coś kłusownikiem! — Zapewne, nie możemy wmawiać w nich zbyt beznadziejnego zakatarzenia, ale cóż poczniemy? Jest to bardzo miła i najracjonalniej polująca na cudzych (niekiedy) terenach, osobistość. Myśliwy z gestem szerokim i z dewizą, wypisaną na torbie: — gdzie mnie oczy poniosą!

Wziąłem pana Pawła żywcem, jak stał, razem z butami, tembardziej, że używa on wyłącznie długich, juchtowych skórzni — niby podkreślając niewygasającą gotowość do łowieckich eskapad.

Spojrzenie na tę długą, nieco pochyloną, jednak bez najmniejszych oznak słabości, postać, na te sękate, żywiczne, rzekłbyś, ręce, na ich skoordynowane ruchy, nawykłe do momentalnego „złożenia się" i strzału, na charakterystyczny, miarowy chód (lewem ramieniem naprzód) — jako wynik podchodzenia, Bóg wie, jakiej i czyjej zwierzyny, oraz specjalizacji w łowach „na pomyka" na jesiennych podorywach. Nie! Pan Paweł, prócz nieodzownych cech ogólnych, posiada tyle wyrazu, tyle oryginalności, że doprawdy... Ta kurcząca się lub wydłużająca w miarę potrzeby szyja z latającą grdyką — istna szyja czapli; te głęboko osadzone, filuternie patrzące z pod strzechy szczeciniastych brwi, bure oczka, te długie, trójbarwne wiechy wąsów — oto zewnętrzne znamiona sylwetki pana Pawła, nie mówiąc już o mimetycznej barwie obcisłej kurtki, twarzy i czapki.

Panie Pawle! Jeżeli na skutek nieobliczalności losu znajdziesz się w gronie mych czytelników, to napewno wielkodusznie machniesz ręką na moją pisaninę i powiesz: — No! trochę to nie tak było! Trochę ten pan pisarz spudłował! Miejscami nawet z obu luf... he, he, he!

Słyszę twój złowieszczo-dobroduszny uśmiech, jednak zaczynam, cytując na swe usprawiedliwienie starą, myśliwską prawdę: — Kto chce osiągnąć celność, ten pudeł nie powinien się wstydzić!

II. Pan Paweł Kwacz i wściekłe psy.

Poniższa pogadanka odbyła się w biurze szkoły rzemiosł. Pan Paweł, jako mistrz powroźnictwa, dostarczał szkole od czasu do czasu nieco szpagatu na potrzeby rymarskie i tapicerskie.

Zaglądał przeto do mego gabinetu i, upewniwszy się, że mam „pięć minut" czasu, przegawędził godzinę, dwie... Przeciętnie co kwadrans skręcał jakoweś balasy conajmniej dwudziestego kalibru i ćmił bezustannie, zatapiając pokój w kłębach czarnego, zjadliwego dymu. Tytoniowi pana Kwacza nadałbym nazwę „krajowy — epidemiczny" (nie będę się procesował z naszym monopolem, gdy skorzysta z mego projektu), albowiem najracjonalniej wyhodowany bakcyl choleryczny, bakcyl wielkości psa, padłby trupem w jego atmosferze. Ze względów grzecznościowych i sanitarnych nie mogłem protestować. Otwierałem jedynie lufcik jaknajszerzej. Pan Paweł spluwał tu i ówdzie, i mówił, o ile ryk bawoli można nazwać mową.

Po zaakceptowaniu rachunku na dziesięć kilogramów szpagatu „rukwantowego" i sprężynowego — z całą uprzejmością skierowałem rozmowę na grasujące w mieście i okolicy, psy wściekłe. Właśnie przed trzema dniami został pokąsany poborca podatkowy, komornik i sam aptekarz...

Pan Kwacz rozsiadł się na wątłej kanapce, wprost rozpacznie uginającej się pod stosem rysunków, uśmiechnął się pod wąsem, długości ogona dojrzałego setera kurlandzkiego, i bąknął od niechcenia:

— Bo trzeba strzelać! Pozwoli pan, że zapalę! Ja sam w zeszłym tygodniu zgładziłem z tego świata siedemnaście sztuk!

— Siedemnaście... psów wściekłych? Czyżby?

— Ano, co było robić?... nawet więcej, ale kilku nie liczę, bo były uwiązane, a myśliwy takich nie liczy!

— Ładna cyfra!

— Tak, proszę pana, miało się w życiu parę wypadków ze wściekłymi psami — miało!

Tu pan Kwacz przymrużył oczka i kilkakrotnie wypuścił kłąb strasznego dymu.

— Jak może panu wiadomo — rozpoczął — miałem kiedyś zakład powroźniczy w Lublinie. Sklep mój sąsiadował z masarnią. Kiełbaśnik miał dwa psy-buldogi. Pies — Hektor, a suka — Minka. Pewnego dnia rano, a mieszkał na parterze, obok sklepu, wchodzę do jego kuchni, a tu suka chap! mnie za rękę! Widzę — oczy błędne, krwawe... Źle — myślę sobie! A przecież znała mnie doskonale! Mróz przeszedł mi przez plecy... Wtedy ja do niej łagodnie: Minka, Minka!... i raptem (tu pan Kwacz zerwał się z kanapki, pociągając za sobą stosy rysunków, odepchnął kolanem biurko, przy którem siedziałem, i rozstawił swe sękate — rzec można — „chwytne" wysoce palce) jak ją złapię za kark, jak ścisnę... a u niej tylko chrup! w karku i moja Minka leży (tu zajrzał woźny, sądząc, że interwencja jest konieczna). Ano ja w te pędy do siebie... Natarli mnie spirytusem, a i wypiłem też silnie, bo to, panie... ale skaleczenia nie było. Miałem na sobie wtedy taką grubą kurtkę. Skończyło się na strachu. Nic! — zaraz łeb kazałem odciąć i do Warszawy! Okazało się — wściekła! Ale jeszcze pies! Gdzie pies? — zwrócił się pan Kwacz bezpośrednio do mnie.

— Nie wiem — bąknąłem skromnie.

— Czekaj pan... a tu już minęły dwa dni... co robić? Ale stoję ja sobie raniutko w bramie i trzymam w ręce sztabę... Patrzę — leci mój Hektor! Taki skudłany, zabłocony, zbiedzony, a piana mu z tych fafli tylko kap, kap! Czekajno, myślę, i myk do bramy! Pies też do bramy, a ja go sztabą chlast! Tom z jednego psa zrobił dwóch — zakończył skromnie pan Kwacz i nawet spuścił oczy ku ziemi.

— Tak! — mruknąłem, zlekka się podnosząc.

Ale pan Kwacz szybko skręcił papierosa, zapalił i, splunąwszy na sąsiednią szafę, ciągnął:

— Byłem jeszcze małym chłopcem. Dziadek mój, leśniczy, wrócił z lasu — niby z obchodu — i powiada do mnie: — przynieś-no, kochanku, kłaków, bo muszę broń wyczyścić. U dziadka był wyżeł Dunaj. Takich psów teraz nie widać! Powiem tylko, że on sam zagryzł z dziesięć wściekłych psów i nic mu się nie stało! Mądry, psiakrew! Jak stanął, to się całkiem nie poruszał! Na obiad przynosił miskę w zębach! Otóż ten Dunaj leży na progu, ja przechodzę koło niego, a ten mnie łap! za rękę!

— Za tę samą, co i ta... jak ją... Minka? — zapytałem?

— Tak!... za lewą, tę oto, co pan widzi! To jest, panie, ręka ho-ho! A dziadek aż się zastrząsł: — Nie ruszaj się, syknął na mnie — ani mru-mru! Dunaj, Dunaj — powiada — dobry piesek, dobry — i podchodzi bliżej.

Pan Paweł podniósł się z kanapy i zailustrował skradanie się dziadka. Był to widok piękny i wysoce pouczający.

— Aż naraz — ciągnął — jak drzwi nie otworzy, jak psa nie kopnie!

Tu bohaterski pan Kwacz wykonał zabójczy cios swym ciężkim butem — na szczęście — w próżnię.

— A pies na podwórku już drze kury! Dziadek za strzelbę i pęc!

— To strzelba była nabita? — pytam.

— Stale, panie łaskawy, stale! No i tak... ale szkoda psa. Co to był za pies!

Posmutnieliśmy obaj z panem Pawłem: szkoda psa! Potem spojrzałem na jego wąsy i pomyślałem sobie, że jednak musi istnieć jakiś tajemniczy — niemniej przecież logiczny — związek między długością tej męskiej ozdoby a zdolnością epicką.

Nie pamiętacie, panowie, czy Homer miał długie wąsy, czy może się golił?



Na kaczki. Fot. B. J. Litwiński.

III. Pan Paweł Kwacz i dziki.

Pan Paweł zapowiedział mi swą cenną wizytę na godzinę szóstą wieczór. Chodziło mu o wystylizowanie przy mojej pomocy, listu do pewnego pana we Lwowie w sprawie wyszukania wyżła i to koniecznie gryffona. O innych rasach absolutnie nie chciał słyszeć!

Na jego przybycie poczyniłem pewne, nieodzowne przygotowania: postawiłem spluwaczkę na środku pokoju, otworzyłem lufcik, i co lżejsze sprzęty powynosiłem lub zamaskowałem po kątach. Mój gość stawił się punktualnie.

Po napisaniu epistoły, pokazałem mu swe skromne trofea łowieckie, między innemi dzicze szable, pięknie oprawione w rzeźbione liście dębowe.

Pan Kwacz ze specjalnie pobłażliwym uśmieszkiem obejrzał to wszystko i, jakby odpędzając natrętnie garnące się wspomnienia, machnął ręką:

— At! proszę pana — tyle dzików, com ich natłukł, to ani pan, ani ja nie widzieliśmy nawet!

Nader dyskretnie parsknąłem śmiechem.

— Jakżeż — pytam — to i pan tych dzików nie widział?

— To jest... co ja mówię!... chciałem powiedzieć: nie zobaczymy już więcej!

— No, boś pan je zjadł, albo może sprzedał!

— Tak to tak... ale te czasy już nie wrócą — nie! Jednegom wziął tej zimy, ale to jak na żart! Jakoś pod koniec stycznia wypadła mi droga przez Orłowskie lasy... Pan może i wie, że dzików tam, jak maku... i to karmione! Ale to tajemnica — sza!

— Panie Pawle — wtrąciłem — jestem tak dyskretny, jak stara ławka pod wiekową lipą!

— Pod lipą... pan powiada... Otóż wjeżdżam pomaleńku na górkę, tu koło Bezednia... patrzę, a tu dzik wyłazi na nią z drugiej strony. I takeśmy się zjechali. Pęc, pęc! — i na wozie!

— Na saniach — poprawiłem.

— Racja... na saniach, bo śniegi były po pas. Ale kolos, ale potwór! I to loftkami!

Tu pan Kwacz puścił we mnie taki kłąb dymu, jakiego nie powstydziłaby się towarowa lokomotywa, ruszająca z miejsca (chciał mnie oszołomić lub zabić kiełkujący we mnie duch krytycyzmu).

Po takiem preludjum, pan Paweł zmrużył filuternie oczka, przyczem jego krzaczaste brwi zbiegły się, tworząc wcale gęstą remizę; pokręcił trójbarwnego wąsa oraz zaśmiał się cicho i złowieszczo.

— Alem im raz wyprawił lanie — podjął — było to coś takiego, że jakbym komu opowiedział, toby się tylko ze mnie naśmiał!

— Proszę, niech się pan nie krępuje!

— Kiedy pan nie uwierzy!

— Jakoś tam będzie — nie pójdziemy chyba do wójta!

— Coby pan powiedział na dziewięć sztuk?

— Czego?

— Dzików!

— W stadzie — bywa!

— Co? W stadzie? W stadzie było ich siedemdziesiąt, albo i więcej, a zabiłem dziewięć dzików jednej nocy!

Rozmawiając z panem Pawłem, byłem przygotowany na wszystko: żadna cyfra, żaden strzał, żadna odległość nie mogły mnie przestraszyć.

— Mów pan — szepnąłem z determinacją wobec tych olbrzymich wiech, sączących kłęby dymu. Czułem, że głos mój był obolały, niby pokryty sińcami.

— Zna pan Podkarpie? — rzucił znienacka pan Kwacz.

— Znam, znam... polowałem tam nieraz — psa niema!

— To może teraz, ale jabym tam i dzisiaj znalazł... Ho, ho! ja znajdę i pod ziemią! Otóż w czasach austrjackiej okupacji był tu u nas major Hulimka. Austrjaków, jak panu wiadomo, nazywaliśmy dziadami, ale major był to chłop osobliwy, jakich z latarniami szukać! Powodzenie u dziewcząt miał ogromne: na którą, bywało, spojrzy—każda mu się podoba! Pić?— ciągnął, jak sam lewar! Do polowania? — też pierwszy! To myśmy się razem zwąchali i jeździli aż za Tanew na jelenie. Ale raz wybraliśmy się pod wieczór do Podkarpia: ja, major i trzech żołnierzów z karabinami. Rozstawiliśmy się na skraju lasu, od strony Horyszowa. Stoję... a noc widna, miesięczna, mróz siarczysty, aż sosny strzelają... to ja się przysadziłem do dęba... pokażę go panu kiedy... i stoję. Stoję, stoję — tu pan Kwacz odchrząknął i, skręcając papierosa, wytrzymał mistrzowską pauzę — stoję... aż patrzę... w imię Ojca i Syna! co to? śnię, czy co?

Pan Kwacz rzucił swój błędny wzrok gdzieś po za mnie, więc i ja się obejrzałem mimowoli. A później ciągnął:

— Wali stado dzików polami od Rozdołów i to prosto na mnie! Liczę, liczę... mam już siedemdziesiąt, a tam i jeszcze, i jeszcze! A trzeba panu wiedzieć, że wtedy akurat byłem trochę przeziębiony, więc chociaż się wstrzymywałem, jednak zakaszlałem raz i drugi. Skoro te posłyszały, to zrazu przystanęły, pokręciły się i raptem do mnie! Ehe! myślę. Strzelbę na szyję i na dęba! Zasiadłem sobie w widłach i patrzę, co będzie dalej. Dziki otoczyły dąb dokoła — tak na jakich pięćdziesiąt kroków — chrząkają i podchodzą. Mówię panu, jak wojsko, całkiem jak wojsko! Ale pierwszy sunie pojedynek. Kły, jak u słonia, a sam, jak dobry koń! Podchodzi i chr-chr! — to ja go bach! z góry... w szyję! Zakręcił się, jak bąk, i już



Młode bociany. Fot. Wł. Korsak.

leży! Ani drgnął (pan Kwacz mówił właściwie — „ani drygnął"). Na to całe stado pędem pod dąb! Kwik, jak na jarmarku! Zabierają się do mojego pojedynka, podrzucają go ryjami, rechoczą... Więc ja z drugiej lufy bach! — maciorę.

Pan Paweł w podobnie wybitnych momentach swego opowiadania „składał się" z lewej ręki, mrużył lewe oko, robił groźną minę i strzelał tak strasznym głosem, że dziewczyna, sprzątająca pobliski pokój, jak zaobserwowałem przez uchylone drzwi, przysiadała za każdym razem na podłodze i wreszcie niemal na czworakach wyniosła się do kuchni.

Ktoś zapukał. Wyjrzałem — we drzwiach stał policjant.

— Czy tu u państwa się nie pali? — pyta.

— Ależ skąd?

— Bo lufcikiem wychodzą straszne kłęby dymu... w dodatku słyszę krzyki... myślałem... przepraszam bardzo.

Spojrzał na nas z absolutnym brakiem zaufania, odsalutował i wycofał się tyłem.

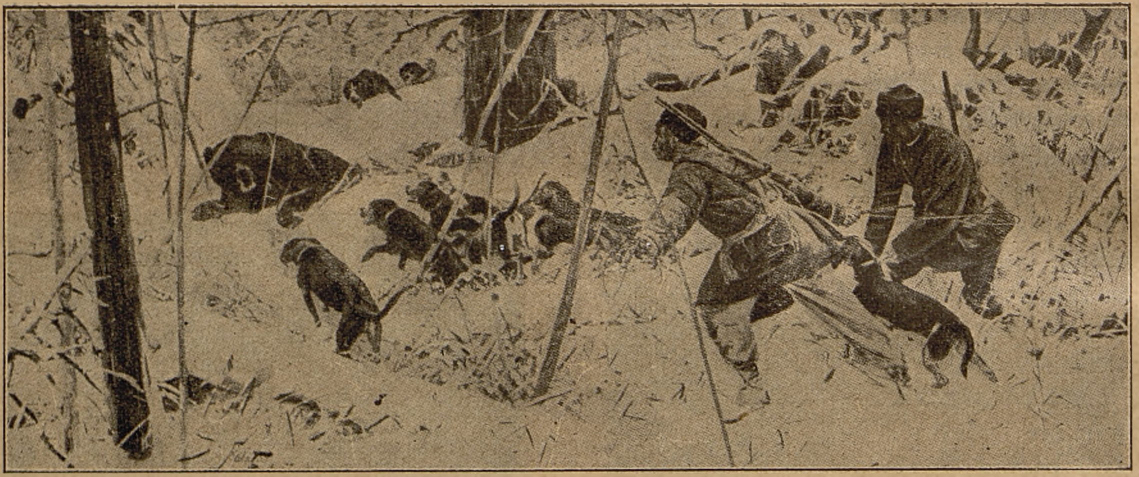
— Co on tam zawraca głowę! — obruszył się pan Paweł. — Jaki pożar? co za pożar? Nabijam i walę raz po raz! I co pan powie? Stado za nic nie chce odejść. A tu taki mróz, a tu zimnica wlazła mi za kołnierz i trzęsie. Ale strzelam i strzelam!

— Ileż pan nabojów miał, u djabła? — zainterpelowałem pana Kwacza, nie widząc kresu tej strzelaniny.

— Żeby panu powiedzieć szczerą prawdę — to dwanaście! Nareszcie przyleciał major z żołnierzami i dalej prać! Postrzelili jednego wycinka — ot taki, jak dobry zając, to go na drugi dzień chłopi dobili w Horyszowie. A dokoła mego dębu cały wianek — dziewięć sztuk, jak Boga kocham! Major Hulimka z galicyjska powiada: — Ta cóżeś pan narobił, panie Pawle? Taże to jatki! — Tak, powiadam — panie majorze, a gdzieby był moskal, jakby tak strzelali wasze ąustrjaki? Ale naśmiał się major! Tom trzy razy obrócił tej nocy z dzikami, brałem po trzech na raz — woziłem i woziłem. Muszę panu wytłumaczyć, co to takiego było: dziki nie były tutejsze... szły skądciś od Stochodu z Wołynia. Były to czysto wojenne dziki. Niejednego trupa pożarły, niejednego może i rannego dokończyły. Jakem zakaszlał, to one pomyślały, że to ranny... i tak się stało... No, i niech pan teraz powie, czy zdarzy się człowiekowi w życiu jeszcze raz coś podobnego?

— Panie Pawle! — zakończyłem rozmowę — nietylko w życiu, ale nawet i w poezji rzadko tak bywa.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.



WSPOMNIENIA MYŚLIWEGO - EMIGRANTA.

PSKOWICZE.

Zob. Nr. 29.

Poza swoją zasadniczą pracą: przygotowań i urządzania zimowych polowań, pskowicze spełniali inne jeszcze, mające związek z polowaniem na czworonogi i ptactwo. Oni też przygotowywali stosunkowo rzadkie polowanie na niedźwiedzie i łosie, jesienne polowania z naganką na zające, na wiosnę wysłuchiwali głuszcowych tokowisk. Latem pilnowali terenów łowieckich i mieli nadzór nad strażnikami, zajmowali się tresurą i prowadzeniem psów, przyczem każdy z nich przy tresurze miał wyznaczone przez losowanie określoną liczbę (3 — 4) psów, stanowiących własność członków T-wa.

Będąc na stałej posadzie w T-wie, niektórzy z nich, za pozwoleniem Zarządu T-wa, w lecie, czasowo godzili się do prywatnych osób-myśliwych.

Z powyższego widać jak ogromną rolę odgrywali pskowicze w T-wach.

Stosunek ich był specjalny, i to przy całej ich podległości, stosunek ten nosił raczej cechy stosunku młodszych towarzyszy polowań, niż służby łowieckiej.

Wieśniacy odnosili się do nich z szacunkiem, tembardziej, że pskowicze załatwiali z nimi wszelkie sprawy pieniężne. Ma się rozumieć, że psuto ich bardzo i Zarząd T-wa musiał mieć „twardą rękę", aby czasami utrzymać ich w ryzach.

W T-wie im. Ces. Al. II było około 10 pskowiczów na stałej służbie. Czasami brano też chwilowo pskowiczów, którzy się zwalniali z innych towarzystw i „Kółek".

Zimowemi polowaniami i bezpośrednio pskowiczami zarządzał przy mnie od 1902 r. do samej śmierci, która nastąpiła w 1913 r. wiceprezes Zarządu Aleksy Mikołajewicz Milukow. Prezes, książę F. F. Jusupow (starszy) mieszkał wtedy w Petersburgu, w Moskwie bywał tylko przejazdem i uchodził jakgdyby za honorowego prezesa T-wa.

Główna i odpowiedzialna rola w T-wie przypadała A. N. Milukowowi i nietylko członkowie T-wa im. Ces. Al. II, ale i inne T-wa i „Kółka" wiedzą, co zrobił zmarły dla naszego T-wa w kwestji jego rozwoju, przodownictwa, urządzania zimowych łowów i zaprowadzenia należnego porządku oraz rygoru.

Przy całej dobroduszności i otwartości swego charakteru, był to człowiek żelaznej woli i umiał trzymać pskowiczów „w twardych rękach", a członków T-wa nakłonić do szanowania prawa i regulaminu T-wa.

Będąc sam doświadczonym myśliwym, znając idealnie zimowe polowania *) nie pozwalał pskowiczom na różne wybryki, jakich im nie brakło w celu ogłupiania mniej doświadczonych myśliwych.

Wszystkich pskowiczów, będących w naszem T-wie łączyło bliższe lub dalsze pokrewieństwo. Dzielili się oni na „starszych" i „młodszych". Dzięki moskiewskiemu przyzwyczajeniu i specjalnej tradycji większość jednych i drugich nazywano zdrobniałemi imionami: Pietia, Fiedia, Pasza, chociaż te Pietie, Fiedie i Pasze byli dorosłymi, a częstokroć podstarzałymi ludźmi. Najstarszym z nich, głównym był Nikita Starostin, który służył w T-wie przeszło 40 lat i zawsze nosił imię „Wuja Nikity". Z pośród innych pskowiczów na wyróżnienie zasługują: Teodor Starostin (syn Wuja Nikity), Piotr i Dymitr Starostinowie (bratankowie Wuja Nikity), Paweł Lichaczow i Froł Zujew (cioteczni bracia Wuja Nikity), Hrisandr, albo Kirsan Zujew, Klemens „biały" i Klemens „czarny". Z młodych — Siemion i Grzegorz Zujew (syn i bratanek Froła). Wszyscy oni byli staroobrzędowcami, nie palili i zupełnie nie używali alkoholu, nawet piwa, ani miodu. Wyjątek stanowił tylko jeden (nie chcę wymieniać jego nazwiska) — wielki pijak i kobieciarz.

Praca pskowiczów w zimie jest nadzwyczaj trudna. Trzeba posiadać nadzwyczajną wytrwałość, siłę nóg i żelazne zdrowie, aby dziesiątki wiorst, bez względu na pogodę, po rozmaitym terenie uganiać się za zwierzyną.

„Przy naszej pracy, ktoby pił — przepadnie odrazu" — mawiali pskowicze.

Wszyscy byli dobrze piśmienni.

WUJ NIKITA PIETROWICZ I TEODOR STAROSTINOWIE.

Wstępując do T-wa w początku 1902 r. już zastałem Wuja Nikitę jako człowieka w wieku 50 — 55 lat, ale b. jeszcze mocnego. Do tego czasu przesłużył on w T-wie około 30 lat. Był to typowy rosyjski chłop, średniego wzrostu, z rudawo-szpakowatą brodą, b. spokojny, małomówny, dobroduszny, o głosie tenorowym. Twarz — mądrego chłopa. Był najstarszym z pomiędzy pskowiczów, nie dzięki swemu wiekowi, ani skutkiem długotrwałej służby, ale zawdzięczając to wyróżnienie swojej wielkiej znajomości rzeczy, doświadczeniu i specyficznemu instynktowi myśliwskiemu. Był to „profesor" w swoim zawodzie, szanowany i przez swoich pskowiczów i przez myśliwych, a znany daleko po za granicami T-wa. Swoją trudną pracę spełniał zawsze spokojnie, nie spiesząc się, ale też i nie marudząc. Ani razu nie widziałem go podrażnionego lub krzyczącego na naganiaczy, strażników lub innych, popełniających błędy przy polowaniu. Uwagi i wskazówki jego przyjmowane były zawsze jako zasłużone. Nigdy nie pozwalał sobie na żadne chytrzenie i kawały w stosunku do myśliwych i nawet, zdaje się, ani razu nie otrzymał nagany od A. N. Milukowa, który doskonale znał się na wszystkich sztuczkach i bezwzględnie za nie karcił.

*) W sezonie 1903 — 1904 ustanowił rekord na wilki 12 sztuk pobity dopiero w 1912 — 1913 r.

Tropicielem i znawcą był znakomitym, a za mojej pamięci zaledwie raz jeden omylił się w miocie.

Zobaczywszy wyjściowe tropy z kręgu, który przy nas obchodził, nie obszedł całego kręgu, a zawyrokował, że wilki „wyszedłszy" i poszedł za śladem wyjściowym. Tymczasem zaś wilki opisując kilkowiorstowy łuk powróciły do kręgu, weszły doń cokolwiek dalej od wyjściowych śladów i znajdowały się wewnątrz. Tropienie zajęło dużo czasu i doprowadziło do tegoż miejsca, z którego się rozpoczęło. Wuj Nikita aż za głowę się chwycił: Wilki były obłożone, ale prawie zupełnie już pociemniało: zajęliśmy stanowiska przy księżycu, ale nikt nie doszedł do strzału i polowanie było popsute. Obecny przy tem A. N. Milukow ogromnie się zgniewał, ale nic nie powiedział Wujowi Nikicie, widząc jego niebywałe zakłopotanie.

Wogóle zaś polowanie z Wujem Nikitą było prawie zawsze wyjątkowo udane. Pracował on zazwyczaj w parze ze swoim synem Teodorem, albo „Fiedią", jak go nazywano w T-wie. Ten wiele przejął od swego



Z Postojówki n. Zbruczem. Jan hr. Siemieński z dzikiem. Fot. Al. Sikorski.

ojca, ale nie dorównał ani jemu, ani innym, nawet pskowiczom, jak Piotr i Dymitr Starostinowie oraz Paweł Lichaczow. I powierzchowność jego była nawpół kupiecka: wyższy niż średniego wzrostu, rumiany, otyły z niewielkim nawet brzuszkiem, blondyn, b. ugrzeczniony i porządny. We dwóch razem stanowili oni doskonałą parę i zwykle wyznaczani byli do najlepszych polowań, na których nigdy się nie skompromitowali.

Pamiętam, byliśmy razem z A. N. Milukowem i pskowiczami Piotrem i Dymitrem Starostinami na polowaniu w powiecie petrowskim gub. jarosławskiej. Polowanie wyjątkowo się udało, gdyż padło w jednym kręgu 10 wilków, — zatem liczba prawie rekordowa.

Wuj Nikita i Teodor tegoż dnia byli z inną paczką myśliwych w gub. smoleńskiej.

Następnego dnia w gabinecie „Słowiańskiego Bazaru" w Moskwie, gdzie wtedy zbierali się przy śniadaniu członkowie naszego T-wa w celu zapisania się do księgi polowań i naradzenia w sprawach łowieckich, jakoś się zdarzyło, że nikt z polujących w smoleńskiej gub. nie przyszedł (prawdopodobnie przyje-

chali późnym rankiem) i myśmy jeszcze nie wiedzieli o rezultatach ich polowania.

Aż oto zjawia się Wuj Nikita.

A. N. Milukow mówi z lekkim uśmiechem:

— No cóż Wuju Nikito. Piotr i Dymitr, zdaje się zdystansowali cię? Zabiliśmy 10 wilków.

— I co jeszcze?

— Jakto — co jeszcze? Mało ci? A wy coście zabili?

— I my też 10 wilków i w dodatku 3 lisy.

Wybuch śmiechu i — brawo, które rozpoczął bić sam Milukow.

Mieszkał Wuj Nikita nie w Moskwie jak większość pskowiczów, a przy stacji Kubinka odległej o 60 wiorst do Moskwy, gdzie mieliśmy swoją bażantarnię i świetne polowania na lisy. Żył tam sobie dostatnio

Przez czas długoletniej służby w T-wie, z pensji, mnóstwa napiwków, „ogonowych" i „za szczęście" zebrali oni wraz z synem kilkadziesiąt tysięcy rubli. Wuj Nikita zmarł na kilka miesięcy przed śmiercią A. N. Milukowa w 1913 r., jako zupełnie jeszcze krzepki i pełen sił mężczyzna. Umarł na zapalenie płuc.

Po jego śmierci Teodor opuścił T-wo i zajął się w swej ojcowiźnie handlem lnu. Pomogłem mu do otrzymania z banku niezbędnych kredytów.

Drugą „parę" pskowiczów zasługujących na uwagę stanowili bracia Piotr i Dymitr Starostinowie. Obecnie powinni oni być w wieku około 58 — 59 lat. Piotr — starszy. Jeszcze przed mojem wstąpieniem do T-wa, jeden ze słabych myśliwych wystrzelił mu oko, które Piotr zastąpił szklanem.

Obaj byli nieco wyżsi niż średniego wzrostu, czarniawi, chudzi, żylaści, niezmordowani. Mówili basem, ale podobieństwa rodzinnego trudno się było w nich dopatrzeć.

W T-wie nazywano Piotra prawie zawsze „Pietią", a Dymitra przeważnie „Dymitr Iwanowicz" albo Dymitr, ale nikt i nigdy „Mitią". Ale o tem — dalej.

W swoim zawodzie, biorąc pod uwagę znajomość rzeczy, sztukę, spryt i wytrzymałość, — zdaje się stali na jednym poziomie, ale Dymitr był śmielszy, odważniejszy, bardziej uparty. Piotr oddawna był „starszym", a Dymitra za jego charakter A. N. Milukow długo nie chciał awansować do rangi starszego. Piotr, ze swoimi krótko przystrzyżonymi wąsami i bródką, ze swoim dobrodusznym i chytrym uśmieszkiem, jakoś odrazu robił dobre wrażenie. Miał usposobienie żartobliwe chociaż w pracy był bardzo poważny. Jak wogóle większość naszych pskowiczów znamionowała go chytrość o której Piotr Wielki powiedział, że „jeden rosyjski chłop jest bardziej chytry niż trzech żydów", ale jak już zaznaczyłem, pomimo wszystko był przytem nadzwyczajnie dobroduszny.

Dymitr też nie był pozbawiony dobrotliwości, ale nie posiadał jej w tym stopniu co Piotr. Z ogromnymi wąsami, garbatym nosem, rzadko kiedy uśmiechnięty — odrazu rzucał się w oczy. Wogóle był toporny w głosie i w obcowaniu i jeśli można się tak wyrazić w swojej quasi wielkości i autorytecie. Liczni myśliwi w T-wie nie znosili go, a niektórzy i ja w tej liczbie bardzo lubili.

Niemiłą była jedna cecha jego charakteru, — nadzwyczajna uniżoność wobec silnych. Częściowo można to tłumaczyć tem, że często pracował u bogatych myśliwych. Całą powierzchownością wyrażał on siłę. Odwaga jego na polowaniach dochodziła do szaleństwa. Naprzykład: na wspomnianem już polowaniu w powiecie Petrowskim gub. Jarosławskiej trzeba było otaczać wilki w dzień, gdy się już myśliwi zjechali. W obchód razem z pskowiczami poszli A. N. Milukow i B. D. Wostriakow, którzy usilnie doradzali zataczać jaknajszerszy krąg, ponieważ wilki już od rana zmieniły miejsce, ale Dymitr nie słuchając ich ani brata Piotra obciął najmniejszy krąg, prawie lisi. Zdążyli zaciągnąć fladry. Naganki było dużo. W rezultacie wilki pozostały w najciaśniejszym kręgu, nie wyszły z niego przed ruszeniem naganiaczy i z 12 sztuk zabito 10.

Z opisanego postępku można osądzić dlaczego nikt go nie nazywał „Mitią", a tylko „Dymitrem Iwanowiczem".

A teraz dowiedzieliśmy się, że ten sam D. J. Starostin zarządza u bolszewików „cesarskiemi polowaniami,", na których udają sportsmenów, „ich excelencje" sowieccy generałowie: Trocki, Tomski, Krylenko i inni.

Dymitr był zawsze majstrem od nabierania niedoświadczonych myśliwych, a teraz dopieroż-to, myślę, pokazuje im sztuczki.

Fakt, że został on „głównym" zarządzającym polowaniami u bolszewików nie zdziwił osób tak go dobrze znających jak ja. Inni pskowicze, którzy żyją, rzecz prosta, mogli się zgodzić na służbę dla kawałka chleba.

Ale Dymitr Starostin, — ten nie inaczej, jak „głównym", „naczelnym" chociażby u samego czorta.

Dok. n. JERZY DYLEWSKI.



KILKA SŁÓW O WYDRZE.

Nie mam zamiaru pisać rozprawy naukowej o wydrze, chcę tylko powiedzieć o niej to, co powinien o niej wiedzieć myśliwy, pragnący zapolować na nią z pewnymi widokami powodzenia.

Drapieżnik ten, z rodziny kun, zajmuje wśród zwierzyny łownej miejsce niemal honorowe tak dzięki swej rzadkości, jak i zgoła innym obyczajom i trybowi życia, niż reszta jego krewniaków.

Budowa ciała, której tu opisywać nie będę, przystosowana jest znakomicie do przebywania i ruchów w wodzie, to też wydra szybko płynie pod prąd, z prądem zaś rozwija wprost niewiarogodną błyskawiczność i elegancję obrotów. Na lądzie mniej ruchliwa — potrafi jednak odbywać dalekie pochody, a zmuszona koniecznością cwałuje skokami charakterystycznie falistymi.

Wzrok, słuch i powonienie wydry są niezwykle ostre, co należy mieć na pamięci polując na nią.

Gruba skóra i gęsta sierść nie dopuszczają kropli wody do ciała, póki wydra jest zdrowa, ciężko ranna bowiem, lub zabita — przemięka szybko.

Jak inne kuny — posiada i wydra w partji ogonowej gruczoły, które po uschnięciu wydzielają ostrą woń, podobną do piżma.

W drugim roku osiąga wydra pełny rozwój — t. j. przeszło 1 m. długości i niekiedy zgórą 10 kg. wagi.

Niedawno powstała w literaturze ciekawa polemika na temat okresu parzenia się kun — przyczem udowodniono, że odbywa się ono i w porze letniej. Wielu też starych myśliwych dowodzi, że spotykali w zimie małe wydry, lub karmiące samice. Normalne jednak parzenie się przypada na luty i marzec, co potwierdzają nieraz tropy kilku sztuk razem chodzących. Wydra nosi dziewięć tygodni i rzuca 2 — 4 młodych w zacisznej i dobrze ukrytej norze.

Podczas cieczki daleko rozlega się głos wydry, podobny do silnego gwizdnięcia; podczas łowów wydra wydaje głos, przypominający urywane chrząkanie.

Jak wszystkie kuny — jest wydra zwierzęciem nocnem. Na łów wychodzi po zachodzie słońca, przed wschodem wraca do nory i tylko w miejscach zupełnie pewnych — wyjątkowo poluje w dzień; to też tryb jej życia i sposób łowów jest niezmiernie trudny do obserwacji i mało znany. Łowi pod wodą i o tyle tylko można ją wtedy widzieć, o ile wystawi głowę nad wodę dla oddechu, lub wyjdzie na ląd dla pożarcia zdobyczy, wytarzania się i dopełnienia toalety. Mniejsze ryby spożywa w wodzie — wystawiając mordę nad powierzchnię. Większe wynosi na ląd, gdzie zjada grzbiet i część przednią, pozostawiając niekiedy połowę nietkniętą. Starzy rybacy twierdzą, że znajdowali nieraz kilowe karpie i węgorze z odgryzioną głową — zresztą całe zupełnie.

Wydra łowi więcej, niż potrzebuje, jest wielkim smakoszem — i niezmuszona głodem — wybiera zawsze rybę najprzedniejszą — pierwszeństwo dając wodom z hodowlą pstrągów i podkarmianych karpi. Nad ryby przekłada raki, których kawałki pancerzy znaleźć można w wydzielinach wydry. Głodna — pożera żaby, rośliny niektóre, a bynajmniej nie gardzi ptactwem wodnem i jego jajami.

Szczęki wydry są tak zbudowane, że wyłączają ruch ku przodowi, przytem zaopatrzone w długie kły — chwytają i trzymają niezwykle silnie. To też wydrę udusić może tylko taki pies, który dusi jednym energicznym chwytem. Jeśli puści po pierwszym chwycie, wydra mu się wymyka darząc dotkliwemi i trudnemi do zagojenia ranami.

Zamieszkuje miejsca ciche, odległe od wsi i dróg uczęszczanych, górskie potoki, rzeki o poszarpanych brzegach, obrosłych drzewami. Podmuliska, zwisłe brzegi, wykroty starych wierzb stanowią jej ulubione legowisko. Jeśli zamieszkuje wolno płynące wody, lub stojące — to w ciche mrozy opuszcza je i ciągnie do wód bystrych., nie wszędzie zamarzających, i zjawia się tam, gdzie jej w lecie wcale niebyło. Czujna i ostrożna — posuwa się niekiedy za żerem pod same osiedla ludzkie, a nawet pod stale hlibocące młyny wodne.

Umiłowane łowiska wydry stanowią ciche wody pod prądami oraz naturalnemi i sztucznemi przeszkodami oddalającemi prąd od pierwiastkowego kierunku.

Do tych to bowiem zaciszy ściągają ryby za pożywieniem.

W zimie wyszukuje wydra głębie, głównie ciche zatoki, w których zalegają ryby na odpoczynek zimowy. Tropy wydry spotyka się często przy tamach, stawidłach i wielkich głazach rzecznych, na których chętnie wypoczywa.

Możliwem jest, że wydra rzuca się na zdobycz nagłym skokiem, jak kot, obserwacje jednak mówią o innym, daleko skuteczniejszym, sposobie jej łowów. Polega on mianowicie na straszeniu ryb i zapędzaniu ich w różne podwodne skrytki.

W tym celu wydra — płynąc po wodzie — bije o nią ogonem i wydaje donośne, właściwe sobie, chrząkanie. W zimie bije ogonem o lód, jak patykiem, na co winien myśliwy zwrócić uwagę, czekając z bronią na wydrę. W wyprawach łowieckich odbywa niekiedy kilometrowe pochody, zbaczając często od brzegu rzeki do miejsc zadrzewionych w poszukiwaniu — jak należy przypuszczać — ciepłej krwi.

Raz strzeliwszy do niej niefortunnie, można w tem miejscu do końca zimy na nią nie czekać. Czekanie na wydrę, bez stwierdzenia jej stałego legowiska, nie ma prawie żadnych szans powodzenia. Przy stałych zaś legowiskach dziennych — wystarczy posiedzieć godzinę po zachodzie słońca — wydra bowiem nigdy nie wychodzi później. Trop jej jest bardzo charakterystyczny: szeroki z wyraźnym odciskiem błony międzypalcowej. W ruchu wolnym parkuje (cokolwiek skośnie), w biegu szybkim znaczy jedną linję ukośną, przyczem na śniegu, lub sypkim piasku znać wyraźnie kreskę zarysowaną ogonem. Prócz tropu i kału — zdradza wydrę wygnieciony śnieg lub piasek, gdzie się tarzała po wyjściu z wody dla osuszenia kożuszka.

Pod względem łowieckim zajmuję w stosunku do wydry stanowisko mniej wrogie, niż ogół my-

śliwych, i potępia takie odezwania się, jak Diesla w „Niederjagd": „Daleko skuteczniejszemi od broni palnej w niszczeniu wydry, są różne pułapki i żelaza".

Za jedyny środek walki z drapieżnikami, godny myśliwego, uważam strzelbę i wątpię, czy schwytanie w żelaza ostatniego lisa, lub ostatniej wydry, nie jest raczej chciwością cennej skórki, niż opieką nad zwierzostanem — zwłaszcza, że przeważnie u takich opiekunów zwierzyny grasują całe chmary wron, niszcząc niewiarogodne ilości ptactwa i zajęcy. Gdyby tak wrona miała pióra rajskiego ptaka, lub edredonki — mielibyśmy napewno dwa razy więcej kuropatw i zajęcy...

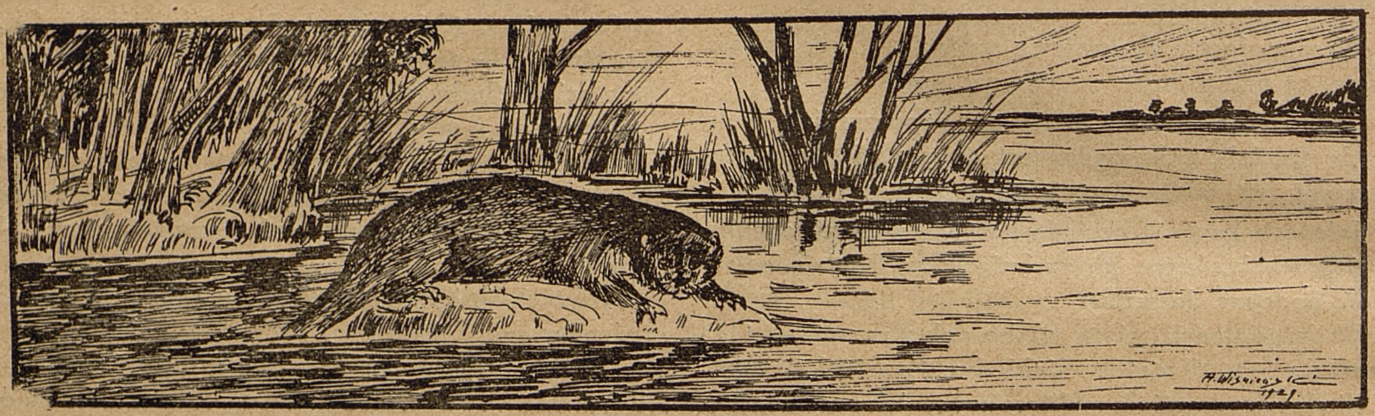
Za jedynie myśliwski sposób polowania na wydry uważa autor zasiadkę w porze zimowej. Najodpowiedniejszem miejscem będzie tu bliskość przerębli, lub małych przybrzeżnych luk lodowych na bystrych potokach, gdzie znajdują się ślady tarzania się wydry.

Kardynalne warunki powodzenia stanowią: dobry wiatr, absolutna cisza zachowania się, strzał na średnią odległość niezbyt grubym śrutem i w takiem oddaleniu od otworu w lodzie — aby mieć czas na „poprawienie" zanim wydra po pierwszym strzale dojdzie do wody. Znalezienie bowiem postrzałka pod lodem zaliczać można do wypadków niezmiernie rzadkich.

Czasami jednak wydra ranna uchodzi lądem, nie wodą, o ile jest w ten sposób postrzelona, że wie, iż nie będzie mogła pływać.

F. HOUSKA.

Streścił WŁ. KARNKOWSKI.



Z WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

Dorocznym zwyczajem odbyło się w dniach 25 i 26 czerwca b. r. Premjowe Konkursowe Strzelanie Myśliwskie Wielkopolskiego Związku Myśliwych na strzelnicy Bractwa Kurkowego w Szelągu pod Poznaniem, z udziałem wybitnych strzelców z Pomorza, Polski środkowej i członków W. Z. M.

Zawody zaszczycili swą obecnością pp.: Gen.-Dyw. Kazimierz Dzierżanowski. Generał Dyw. Serda-Teodorski, Generał Antoni Unrug, Zygmunt hr. Kurnatowski, Dr. Cetkowski. Wszystkich uczestników konkursu i gości powitał Prezes Związku p. ppłk. rez. Chłapowski.

Następnie przystąpiono do strzelania kulowego. Przychylając się do życzeń strzelców oraz dla umożliwienia zdobycia nagród wszystkim uczestnikom, ustanowił Zarząd strzelanie w dwóch klasach, t. zn. według szans zawodników. Nagrody uzyskali:

Do dzika biegnącego:

Klasa A: I nagr. J. Ciążyński z Leszna.
Klasa B: Wł. Bląk jr. z Poznania.

Do jelenia biegnącego:

Klasa A: I nagr. leśn. A. Gramowski z Gołaźni.
Klasa B: leśn. E. Kryszkiewicz z Krotoszyna.

Do rogacza stojącego:

Klasa A: I nagr. J. Ciążyński z Leszna.
Klasa B: leśn. W. Wyrwiński z Błażejewa.

O nagrodę kniei Wielkopolskiej:

Klasa A: I nagr. K. Łyskowski z Komorowa.
Klasa B: St. Muszyński z Poznania.

Do lisa biegnącego:

Klasa A: I nagr. J. Ciążyński z Leszna.
Klasa B: St. Muszyński z Poznania.

Na specjalne życzenie uczestników urządzono dodatkowe strzelanie, w którem uzyskał I nagr. leśn. Jarochowski z Lichwina.

Po skończonem strzelaniu wręczył p. Prezes zdobywcom nagrody.

W drugim dniu konkursu strzelano do rzutków. W konkursie tym brał również udział mistrz Polski p. Józef Kiszkurno.

I-sze nagrody zdobyli:

W strzelaniu otwarcia:

J. Kiszkurno z Brudzewa.

W strzelaniu dobrego początku:

J. Kiszkurno z Brudzewa.

O nagrodę Przyjaciół W. Z. M.:

Klasa A: Łyskowski z Komorowa.
Klasa B: Przyłuski z Łagiewnik.

O nagrodę Resursy Poznańskiej:

Klasa A: Schulemann z Borzęciczek.
Klasa B: Tyszkiewicz.

O nagrodę Pocisku:

Klasa A: Kiszkurno z Brudzewa.
Klasa B: Tyszkiewicz.

O mistrzostwo W. Z. M.:

Klasa A: Kiszkurno z Brudzewa.
Klasa B: R. Nowicki z Poznania.

O nagrodę Towarzystwa Łowieckiego:

Klasa A: Kiszkurno z Brudzewa.
Klasa B: R. Nowicki z Poznania.

Do dubletów:

- Łyskowski z Komorowa.

Do uświetnienia konkursu przyczyniło się pięknemi premjami kilku ofiarodawców, których życzliwość dla naszego Związku należy specjalnie podkreślić i którym na tem miejscu składamy serdeczne podziękowanie, a mianowicie: Zygmunt hr. Kurnatowski, Towarzystwo Łowieckie, Wielkopolska Izba Rolnicza, Związek Zawodowych Leśników R. P., Resursa Poznańska, pp.: Dr. H. Cetkowski, Olgierd książę Czartoryski, Kazimierz Chmielewski, Tadeusz Jaruszewski, Frankowski, Ciążyński i Szulc, oraz Warszawska Spółka Myśliwska i Z. A. Pocisk. Jako nagrodę przysłała firma Czapczyk z Grudziądza 750 rzutek, które znane są ze swej dobroci i które spotkały się z uznaniem zawodników.

Pa skończonych zawodach wręczone zostały zdobywcom nagrody, poczem, dziękując za przybycie oraz udział w konkursie, zamknął p. Prezes zawody okrzykiem „Cześć św. Hubertowi".

LEKI DLA ZWIERZĄT.

Utartem pojęciem jest u nas, a przymusowo i przez naszych lekarzy weterynarji cierpianem, że każda apteka, każdy farmaceuta może bez szczególnych wiadomości sporządzać i leki dla zwierząt. Lekarze weterynarji przepisują oczywiście z przymusu dla swych pacjentów czworonożnych i skrzydlatych tylko te leki, które oczywiście w aptekach, z założenia swego przeznaczonych właściwie tylko do obsługi chorego człowieka, otrzymać można, lub też dopomagają sobie pp. lekarze weterynarji, różne spółdzielnie hodowlane, a nawet dość często właściciele cenniejszych zwierząt lub większej ilości zwierząt w ten sposób, że sprowadzają leki zagraniczne; ponieważ zaś wwóz tych leków przeważnie nie jest dozwolony, zatem spotyka się w majątkach, po wsiach i u lekarzy weterynarji szereg leków „szmuglowanych", — choć przemytnictwa tego, stosujący dane lekarstwo rzadko jest świadomy.

Stan taki jest złem; zło to zaś jest nie koniecznością, a polega jedynie na nieznajomości przez nasze aptekarstwo, potrzeb lecznictwa zwierząt.

Podczas gdy Zachód i środkowa Europa już na wiele lat przed wojną światową posiadały swych tak teoretycznie, jak i praktycznie wyszkolonych adeptów farmacji weterynaryjnej, u nas ta gałąź nauki do dziś leży odłogiem i wiedza pod względem leków dla zwierząt ogranicza się u naszego aptekarza w najlepszym razie do mniej lub więcej umiejętnego zestawienia fluidu restytucyjnego, maści ostrej lub proszku dla powiększenia (?) wydajności mleka u krów.

Piszący niniejsze, pracował na Zachodzie szereg lat na stanowiskach kierowniczych w fabrykach leków dla zwierząt, miał możność studjowania farmacji weterynaryjnej w akademjach weterynaryjnych Zachodu, zabiera zatem zapewne słusznie głos w tej sprawie.

Pozatem że jest pewna ilość surowców, które tylko w lecznictwie zwierząt zastosowanie mają — oczywiście i odwrotnie, — konieczną jest znajomość natury poszczególnych gatunków zwierząt, żeby wiedzieć, co na daną chorobę u poszczególnych zwierząt stosować można i należy, a przedewszystkiem w jakiej formie, pod jaką osłonką, w jakiem zestawieniu, czy wogóle zadany lek wchłonięciu, a więc skutecznemu przyswojeniu przez chory organizm, ulegnie.

Przytoczę tu tylko dość jaskrawy przykład, mianowicie usiłowanie leczenia pigułkami choroby żołądka lub kiszek u zwierząt przeżuwających, albo też leczenie choroby skórnej konia i psa tak skutecznem nacieraniem, że nietylko daną chorobę się usunie, ale zwierzę szerści się pozbawi już na zawsze. Pobieżnie dane przykłady są smutną rzeczywistością, która naraziła już niejednego właściciela zwierząt na straty poważne.

Polska posiada 117 miljonów zwierząt domowych, czworonożnych i skrzydlatych, pozbawionych właściwych i odpowiednich leków.

Mamy około 750 lekarzy weterynarji i felczerów, którzy z konieczności zapisują „simplicia" lub też uciekają się „nolens volens" do leków zagranicznych.

Nie posiadamy ani jednej wytwórni leków dla zwierząt, która stałaby choć w przybliżeniu na wysokości zadania.

Farmacja weterynaryjna obejmuje 1677 surowców, 571 gatunków leków i zgodnie z przystosowaniem tych leków do potrzeb poszczególnych rodzajów zwierząt, 50310 pojedynczych leków. Są to liczby pokaźne, które jednak winny nie zniechęcać, a przeciwnie powodować żal, że tego skarbu u nas nikt należycie i właściwie nie wyzyskuje, ani go nawet do potrzeb naszych zastosować nie umie.

Założenie takiej wytwórni opartej doświadczalnie o Instytut Weterynaryjny, wymagałoby stosunkowo małego nakładu, — a najlepiej, gdyby koszta założenia nie spoczywały na jednej osobie, lecz rozdzielały się na grono osób, np. udziałowców, lub t. p.; oczywiście winno kierownictwo wytwórni spoczywać w rękach doświadczonych człowieka znającego ten dział lecznictwa tak teoretycznie, jak i praktycznie.

BRONISŁAW DRYGAS.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

Nawiązując do uchwały Walnego Zgromadzenia Stowarzyszeń Związkowych z dnia 10 maja r. b., dotyczącej wykreślania ze Związku tych Stowarzyszeń, które pomimo upomnień zalegały w opłacie składki członkowskiej, podajemy do wiadomości, co następuje:

Wród wykreślonych Stowarzyszeń znalazło się Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Hrubieszowie. Jak się okazuje obecnie Towarzystwo to zostało zlikwidowane. Natomiast byli członkowie prezydjum tego Towarzystwa, pp.: Henryk Weychert, dyr. Witold Kulikowski i prez. Juljan du Château, uregulowali wszystkie zaległe opłaty, przypadające od zlikwidowanego Towarzystwa na rzecz Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Wydział Wykonawczy.

Wiadomości bieżące.

ORBĄCZKOWANE KUROPATWY.

B. Jelinek, właściciel rozległego łowiska w Czechach podczas srogiej zimy r. 1928/9 schwytał 140 kuropatw celem przeżywienia i wypuścił je na wiosnę po zobrączkowaniu.

W jesiennym sezonie odstrzelił z nich w swoim rewirze trzy. Kilkanaście zabito w sąsiednich rewirach, jedną zaś w odległości 10 km. od miejsca wypuszczenia. Fakt ten podaje zatem w wątpliwość twierdzenie, że kuropatwa trzyma się stale swego rewiru lęgowego.

W. K.

DO PP. PRENUMERATORÓW PÓŁROCZNYCH I KWARTALNYCH!

Uprzejmie przypominamy, że numer bieżący jest ostatni, który otrzymywać będą zalegający z opłatą prenumeraty. O ile pieniądze nie nadejdą w przeciągu 2 dni od chwili wręczenia numeru bieżącego, ekspedycja „Łowca Polskiego", stosownie do obwieszczeń opartych na postanowieniu władz P. Zw. S. Ł., wstrzyma dalszą wysyłkę pisma.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery—po 20 gr., najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

OGŁOSZENIA DROBNE

OGŁOSZENIE.

Dyrekcja Lasów Państwowych w Łucku

ogłasza niniejszem konkurs ofert na wydzierżawienie następujących terenów łowieckich na przeciąg 6-ciu lat myśliwskich, względnie od 1 września 1931 roku do 28 lutego 1937 roku.

Nr. bież.	NADLEŚNICTWO	Tereny przeznaczone do wydzierżawienia	Powierzchnia w ha	Przeciętna odległość od najbliższej stacji kolejowej	Rodzaj zwierzyny a) stałej b) przechodniej
1	Czartorysk	L-ctwo Czartoryskie oddz. 1—24 włącznie.	2949,65	5 klm. od stacji Czartorysk	a) wilki, sarny, zające, cietrzewie, jarząbki.
2	Czartorysk	L-ctwo Stepańskie oddz. 1—36 włącznie.	3643,33	Małyńsk 20 klm.	jak wyżej
3	Styrskie	L-ctwo Styrskie oddz. 1—66 włącznie.	3909,16	Rafałówka 20 klm.	a) głuszce, cietrzewie, jarząbki, sarny. b) wilki, dziki
4	Smydyń - Wyżwa	L-ctwo Wyżwa oddz. 1—17 włącznie.	1807,65	Wyżwa 2 klm.	a) sarny, zające, cietrzewie i jarząbki, b) dziki.
5	Smydyń - Wyżwa	L-ctwo Myzowo oddz. 23—49 włącznie.	1255,73	Myzowo 4 klm.	jak wyżej
6	Kowel	L-ctwo Niesuchoiże całe i l-ctwo Skulin oddz. 20, 21, 24, 25 i 27.	2616,05	Niesuchoiże 6 klm.	a) dziki, sarny, zające, lisy, cietrzewie i jarząbki
7	Kowel	Las upaństwowiony Karpiłówka.	365,00	Soszyczno 6 klm.	a) Sarny, lisy, zające i cietrzewie.
8	Kowel	Las Kołodnicki oddz. 55 i las Budyszczański oddz. 56 i 57.	320,88	1) Przy st. kol. Wrzosy 2) 4 klm. od Kowla	a) Sarny i zające
9	Opalin	L-ctwo Zabużańskie oddz. 1—9.	1377,50	Uhrusk 10 klm.	Sarny, lisy i zające.
10	Trojanówka	L-ctwo Trojanowieckie i Maniewickie oddz. 4—7, 9—14, 16—22, 24, 30 i 32 do 49	4233,70	Trojanówka wewnątrz obrębu	a) głuszce, cietrzewie, jarząbki, sarny, dziki, zające, lisy, b) rysie, wilki.
11	"	L-ctwo Maniewickie, las Wołczecki oddz. 1—9 włącznie.	1141,75	Polska Góra 4 klm.	Sarny, lisy, zające.
12	"	Obręb Zającowiecki L-twa Maniewickiego	365,63	2 klm. od st. kol. Powursk	jak wyżej
13	Równe	L-ctwo Szubkowskie (dawne Aleksandryjskie) oddz. od 1—20 włącznie	1466,31	Wołoszki 5 klm.	jak wyżej
14	Równe	L-ctwo Bystrzyckie oddz. 1—29 włącznie lasy upaństw. Czabany i Pohorełówka.	2536,66	Kostopol 20 klm.	jak wyżej
15	Szack	L-ctwo Świtiaż oddz. 1—4, 86—100, 101—111 wł. i lasy i upaństw. Pulus, Świtiaż, Zgorany.	4251.52	Lubolm 30 klm. autobus	a) dziki, sarny, zające, lisy, cietrzewie, jarząbki.
16	Szack	L-ctwo Pulemieckie oddz. 1—23 wł. i grunta nabyte.	1956,67	Przyborowo 2 klm.	jak wyżej
17	Krymno	Obręb Nudyżski oddz. 1—21, 23—33, 40—49, 57—66, 90—99, 105—110, 112—114, 70—83 wł.	4534,38	Krymno 15 klm.	jak wyżej

Oferty winny być składane względnie nadsyłane w terminie **do dnia 12 sierpnia 1931 r. godz. 12** w zapieczętowanych kopertach z napisem „Oferta na dzierżawę terenu łowieckiego".

W ofertach należy podawać proponowane ceny za 1 ha rocznie, za każdą jednostkę przeznaczoną do wydzierżawienia oddzielnie, cyfrowo i słowami w złotych.

Do oferty winien być dołączony dowód wpłacenia na P. K. O. Nr. 30199 lub do kasy Dyrekcji Lasów wadjum w wysokości 10% oferowanej sumy, przyczem zaznacza się, iż wadjum może być również uiszczone w papierach wartościowych mających prawo pupilarne.

Rozpatrzenie ofert nastąpi dnia 12 sierpnia 1931 r. o godz. 13 w biurze Dyrekcji przy ul. Ks. J. Poniatowskiego Nr. 1 w Łucku. Dyrekcja zastrzega sobie prawo wyboru ofert bez względu na wysokość proponowanych cen, oraz prawo nieprzyjęcia żadnej z ofert, jak również prawo wprowadzenia ewent. zmian w powierzchni poszczególnych kompleksów.

PP. oferenci, których oferty zostały przyjęte, będą o tem przez Dyrekcję w terminie 7-dniowym powiadomieni i prześle się im umowę do podpisania.

Bliższych szczegółów udzielą na żądanie poszczególne Nadleśnictwa, jak również wskażą po porozumieniu z dzierżawcą najodpowiedniejsze tereny na mateczniki.

DYREKCJA LASÓW PAŃSTWOWYCH
W ŁUCKU.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.